

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (59)

(fragmenty)



Arabowie są nacją o wiele bardziej wykształconą, ba, elity arabskie kochają wszystko co francuskie, co jest też paradoksalne, jeśli zważyć, że na przykład my Polacy nie pałamy sympatią do naszych dawnych zaborców. Oczywiście prawo marokańskie pieczołowicie strzeże równości obywateli marokańskich i w życiu codziennym i publicznym nie istnieją jawne rozróżnienia między tubylcami Maroka o tajemniczym rodowodzie (może azjatyckim) a Arabami, przybyłymi tu – po Fenicjanach, Rzymianach, Kartagińczykach, Żydach, Gotach, Wandalach, Berberach – „dopiero” w VIII wieku. Niemniej, gdy porównuje się Arabów i Berberów, widać, że jednych od drugich różni karnacja skóry: Berberowie mają jaśniejszą; dzieli ich też język, choć urzędowym jest klasyczny arabski; dzielą obyczaje, kultura, a nawet sposób poruszania się; Berberowie chodzą ciężiej, „jak kobiety, które nigdy nie poruszały się na szpilkach” (to zabawne określenie Ahmeda). Łączy ich za to muzułmanizm; mimo że w przeszłości Berberowie wyznawali chrześcijaństwo zbliżone do naszego arianizmu..!

...Z okien autokaru widać dalej skaliste pustynie górskie przypominające amerykańskie pejzaże Arizony czy Utah, choć nie brakuje też pięknych dolin uprawnych – w rozlewiskach rzek i rzeczulek, tak przemyślnie rozczłonkowanych, by nawadniały uprawy. Zresztą tu i tam Francuzi, którzy wycofali się z Maroka pod koniec lat 50., pozostawili po sobie system irygacyjny.

Nie ma co ukrywać, oko Polaka cieszą też wojskie elementy krajobrazu: czerwone maki w zagonach zbóż ciągnących się aż po horyzont – na drodze do Meknes; setki rozklekotanych bocianów na minaretach i wierzchołkach drzew w słynnej nekropolii Szella w Rabacie, czy na słupach i budynkach w drodze do Casablanki.

Krowy, barany i stokrotki na łąkach. Pokrzywy w trawach. Dorożki jak na krakowskim Rynku i to w kilku miastach, co nie jest

zresztą „osobliwością Maroka, bo podobne dorożki z konikami arabskimi wypatrzyłem też w kurortach tunezyjskich. Zaś tuż za Wersalem Maroka – Meknes – jawi się oczom polskiego turysty pejzaż nieomal bieszczadzki, to wzgórze najniższego pasma Atlasu...

Pozostanie mi również w nosie miły, intensywny zapach kwitnących drzewek pomarańczowych, obwieszonych dojrzałymi owocami na bulwarach Marakeszu; są one drzewkiem pospolitym; przy czym jedne drzewka rodzą owoce jadalne, inne, ładujące do nich podobne – nie, za to z ich kwiatów wytłacza się lecznicze olejki.

Na pewno niezapomnianym widokiem jest słynny plac Dze-maa el-Fna w Marakeszu – z zaklinaczami węży, makakami, Berberkami wykonującymi misterne tatuże i wejściem na targową uliczkę oraz suk złożony z setek tysięcy straganów. Tłumy gapiów, gwar, muzyka, warkot rozpędzonych motocykli, taksówek (bardzo tanich)... jakaś szalona karuzela pędząca dookoła, dookoła, tak że człowiek dostaje w upale oczopląsu i kolorowego zawrotu głowy, oglądając to fantastyczne widowisko... a może zresztą o to chodzi, by zostać omamiony, oglupiony i znowu wyciśnięto z niego jak najwięcej marokańskich dirhemów.

Był tu już przede mną noblista Canetti, którego Głosy Marakeszu zapadły mi tak w pamięć, że dziś patrząc na rzeczywisty plac, nie umiem się wyzwolić od tamtego mistrzowskiego opisu, może nawet bardziej sugestywnego od rzeczywistego obrazu...

O ile Marakesz jest czerwono-brązowy, to Fez, ze wzgórze, przypomina mozaikę białych domków z piaskowca. Ma on największą w Maroku i podobno w świecie medinę, starą arabską dzielnicę, zamieszkałą przez 300 tysięcy ludzi, choć nie należy w tym kraju do końca wierzyć danym statystycznym. Do dziś na przykład nie wiadomo, czy Marokańczyków jest naprawdę 30 czy 40 milionów, nieufnie traktują bowiem wszelkie spisy ludności i niechętnie przyznają się ankietantom do liczby dzieci, uważając ich pytania za ingerencję w prywatne życie. Podczas ostatniego spisu ludności doszło nawet parokrotnie do pobicia urzędników...

Fez szczydzi się jednym z najstarszych uniwersytetów świata. Medina zaś to labirynt ponad 9 tysięcy najwęższych w świecie uliczek, w których zakłute zostało średniowiecze. Można się tu kompletnie zagubić. Stragany, stragany, stragany. Zakłady rzemieślnicze, gdzie mistrzowie i czeladnicy prezentują swój kunszt i kuszą, kuszą, kuszą. Osły, muły, barany, z którymi mijasz się w uliczkach. Nawoływanie sprzedawców. Przeciskania się i ocierania plecami o kamienice bez dachów, dające cień przechodniowi. Budowane w podkowę i odwrócone jakby plecami do uliczek, strzegą zazdrośnie tajemnicy wnętrza, w którym znajduje się patio z wodotryskiem i ogródkiem i toczy się jak u nas na podwórku

życie. Tak było w XIII wieku i tak pozostało do dziś. Trudno się dziwić, że turyści ciągną tu jak pszczoły do miodu, chcąc zakosztować atmosfery miejsca prawie niezmienionego od siedmiuset lat.

W Fezie o mało nie spotkałem się oko w oko z królem Muhammadem VI, obecnym władcą Maroka. Widziałem tłumy oczekujące na jego przejazd ulicami, które zatarasowały ruch na kilka godzin. Wcześniej byłem pod jednym z jego pałaców w Rabacie i w Meknes, strzeżonym przez strażę stojącą na baczność. Okazuje się, że takich pałaców ma 26! I wiele posiadłości. Pewnie dla zmylenia przeciwnika – nikt nie wie, kiedy, gdzie i w której swojej rezydencji znajduje się król w danym momencie. Gdy wjeżdżaliśmy do Fezu, doszło do następującego dialogu między przewodnikiem a moim towarzyszem podróży poetą Wackiem Kostrzewą:

– Proszę państwa, a teraz widzimy na lewo farmę należącą do króla, zagrodzoną drutem. Wejście za ten drut kosztuje, bagatela, tylko 5 lat.

– Czy obcokrajowca też, przecież nie musi wiedzieć, że to posiadłość króla?

– Proszę więc wejść, a my zaczekamy tu na Pana 5 lat. Pójdzie pan?

– A czy w więzieniu dają jeść?

– Dają. A jakże! Więzienia w Maroku należą co prawda do najcięższych, od 80 do 150 chłopa stłoczonych w jednej sali, ale ciepło, przytulnie, nie trzeba się martwić o jutro, a poza tym system więziennictwa jest w okresie reformy, bo organizacje europejskie protestują przeciwko ciężkim warunkom.

– No proszę, królowi nie wystarczy całe Maroko, jeszcze potrzebna mu kurza farma... – zamruczał Wacek pod nosem.

No cóż, kiedy oczami wyobraźni zderzy się te obrazy strażników przęających się przed 26 przepysznych pałacami króla, obrazy kąpiącego złotem mauzoleum króla w Rabacie czy jednego z najwspanialszych meczetów na wodzie w Casablance dla 100 tysięcy modlących się, zbudowanego nie tak dawno ze składek narodu – ze wspomnieniem ukrytej w ciemnym zaułku w Agadirze, leżącej na schodach, w poniżeniu i prochu, i wyciągającej ku mnie rękę prostytutki o dużych, pięknych, błagalnych oczach... albo z obrazem starych mężczyzn w długich szatach, siedzących przy murkach, w jakimś odrętwieniu czy śpiączce i zapatrzonych martwo w skalistą pustynię, czy żebrzących przy drogach – to człowiek zwany Józefem Baranem uzmysławia sobie, że właściwie powinienem się cieszyć, iż przyszedł na świat właśnie w szarym, zimnym kraju europejskim nad Wisłą. Banalny to wniosek, ale – czy ja wiem? – może niekiedy warto go mieć na uwadze?

cdn.

